

W czerwcu 1984 roku, byliśmy już we Francji całą rodziną, dobrze zagospodarowani. Od czasu do czasu pisywałem komentarze do „Liberation” i do „Le Mond”. Jeden wydrukowany przez „Le Monde” w przeddzień wyborów do Parlamentu Europejskiego po dwudziestu latach nabral szczególnego smaku. Na jego tle widać drogę, która przeszliśmy. Oto on:

O Europie Waszej i Naszej.

Jestem Europejczykiem, lecz 17 – go czerwca nie będę głosował. Pochodzę, bowiem z Europy zabranej Europie i jestem tutaj gościem. Pochodzę ze świata zamkniętego granicami, które przypominają do złudzenia ogrodzenie więzienne. Dużo ludzi przejeżdża dziś te granice legalnie, ale sporo ucieka przez nie ryzykując życie, tak jak zbieg z więzienia. Czteryście milionów Europejczyków wolnych i ponad sto (a jak doliczyć Rosjan to prawie trzysta) milionów Europejczyków uwięzionych – taki jest najważniejszy rys naszego kontynentu.

Tych z krańców dzieli niedługa podróż samolotem. Tyle, żeby zjeść obiad, wypić kawę i porozmawiać z sąsiadem o pogodzie. Tych przy granicach paręset metrów. Lecz dla większości ludzi po tamtej stronie to tyle, co życie, bo albo nigdy nie odbędą tej podróży, albo muszą postawić życie na szali by te paręset metrów przebyć. Jesteście więc od nas straszliwie daleko, ale równocześnie bardzo blisko, bo w myślach i tęsknotach. Chociaż oderwani od Europy wolnej, uważamy ją jednak także za naszą. Mamy o niej żywe wyobrażenia, nawet, jeśli nigdy nie postawiliśmy tu stopy. Czasami są to wyobrażenia zbyt różowe, gdy mowa na przykład o materialnym poziomie życia. Czasami czarne, gdy mowa o ideowym rozbrojeniu Waszej Europy, o osłabieniu woli bronięcia wartości zachodniej

cywilizacji. Mamy też o was sporo wiedzy, być może więcej niż ma tutejszy przeciętny człowiek o naszej Europie. To jest wytłumaczalne. Wy nam jesteście potrzebni, a zarazem Wy bez nas nieźle dajecie sobie radę. Gorzka to prawda, a na prawdę nie ma rady.

Przejmujemy się losami Europy wolnej. Nie tyle, ze względów altruistycznych, co egoistycznych, naszych własnych. To też przecież zrozumiałe. Dlatego zagrożenia ustawiamy często w innej kolejności niż Wy. Jesteśmy mało wrażliwi na to, co dzieje się między wami, a waszym wielkim sojusznikiem zza Atlantyku. Nie przeraża nas ekspansja cywilizacyjnych wzorców największej demokracji świata. Nie rozumiemy antyamerykanizmu, raczej go odrzucamy, uważamy za niebezpieczny dla Europy, choć nie ma to nic wspólnego z życzeniem, by skryła się ona w cieniu Wujka Sama. Czasami ten namiętny anty – amerykanizm jawi się nam jako niesprawiedliwość wobec kraju, który dokonał największego wysiłku by przywrócić Europie Zachodniej wolność (szkoda, że nie nam). A także wobec kraju, którego obywatel dał swe nazwisko wielkiemu planowi dźwignięcia Europy (szkoda, że nie nas) ze zniszczeń wojennych. Tak to widać naprzykład z nad Wisły.

Widać też wyraźnie, wyraziściej niż stąd, że głównym zagrożeniem dla świata Waszego jest nasz świat. Pasożytniczy i ekspansjonistyczny zarazem. Popatrzcie na listę naukowych odkryć drugiej połowy XX wieku, jak ubogi jest w nią wkład komunizmu. A ten, co jest ma prawie w całości coś wspólnego z zapachem prochu. I popatrzcie na mapę polityczną świata na przykład ostatnich trzydziestu lat. Ile na niej przybyło granic z czerwonym drutem kolczastym! Często słyhać, że my

stamtąd jesteśmy nieobiektywni, że mamy uraz do czerwonego koloru. Oczywiście, że go mamy. Tak jak ma uraz do rozpalonej płyty człowiek, który jej dotknął. Lecz kto lepiej zna prawdę o niej? On, który doświadczył jej właściwości, czy ten, co z daleka obserwuje jej czerwień?

Myślimy o waszej Europie, rozmawiamy o niej w domach, chcemy jej siły i wielkości. Dlatego, że jesteście nam bardzo potrzebni. Silni, prosperujący i wolni jesteście dla ludzi stamtąd nadzieją, że przyszły świat nie musi być poszatowany zasiekami i wieżami strażniczymi (od Rosjan oddzielają nas takie same, jak Niemców wschodnich od zachodnich), że jest ciągle szansa, by ich ubywało i by kiedyś znikły z naszych granic. Jesteście dla nas żywym przykładem lepszego porządku, nawet z waszymi bezrobotnymi. Jesteście, więc czymś bardzo ważnym, co zapobiega utrwaleniu, w umysłach Europejczyków uwięzionych, zrezygnowanego przekonania, że świat odrutowany jest naturalnym środowiskiem życia ludzi.

Jesteście też dla nas wsparciem, a w każdym razie chcielibyśmy abyście nim byli. Człowiek we Wschodniej Europie jest w szczególny sposób samotny, naznaczony dotkliwym poczuciem opuszczenia. Może inaczej jest w Polsce, gdzie „Solidarność” ludzi połączyła, a stan wojenny nie zdołał ich znowu rozproszkować na jednostki. Lecz normą jest samotność. Nie taki zwykły brak bliskich wokół siebie, lecz samotność wobec ogromnej maszyny państwowej, która jest wszędzie. Może zaatakować z każdej strony odebrać wszystko, w niektórych krajach nawet własne dzieci. Nie ma przed nią żadnych środków obrony. Wy możecie nim być. Wasz głos, wasze świadectwo, że te miliony ludzi na Wschód od muru berlińskiego

to są ciągle członkowie europejskiej społeczności. Nie to jest najważniejsze, czy nasi władcy wezmą pod uwagę wasze opinie, choć czasem się z nimi liczą. Wasz głos, Wasza pamięć mają znaczenie dla nas, choćby nie dawały żadnych skutków praktycznych. Są wsparciem, które ludzi tam ośmiela, umacnia w ich własnym pragnieniu, by uczłowieczyć świat, w którym żyją. Wasz głos w naszych sprawach to także wasza obecność w tamtej części po jałtańskiej Europy, u boku ludów a nie władców. Nie wiadomo ile czasu przyjdzie nam Europejczykom ze Wschodu, żyć bez wolności, która dla nas nie jest ideałem abstrakcyjnym, ale warunkiem, by żyć normalnie. Lecz jeśli kiedyś tamta część kontynentu zacznie żyć normalnie, to nie w skutek reform oświeconych totalitarystów, lecz przez napór ludów.

Waszej jedności, potęgi gospodarczej i obronnej oraz waszego przywiązania do całej Europy wolnej od murów i drutów tego pragnęlibyśmy my, którzy nie będziemy wybierać posłów do Parlamentu Europejskiego. Mając jednak zarazem nadzieję, że wybierzecie takich, którzy przybliżą nas, choćby o mały krok do chwili, gdy razem wybierali będziemy Parlament całej Europy.

(Le Monde - Samedi 16 Juin 1984. Polska wersja w: "Burza nad Wisłą - dziennik 1980-1981". Iskry 2002))

Ten tekst napisałem jesienią 1986 roku do emigracyjnego miesięcznika rosyjskiego "Strana i Mir". Było to kilka miesięcy po tym, jak dostrzegłem, że w ZSRR zaczynają się bardzo ważne wydarzenia.

Pierwszy Wylom.

Ludzi przybywających na Zachód z komunistycznej zony śmiesz i irytuje

niewyczerpana naiwność wielu zachodnich intelektualistów, polityków i dziennikarzy uszlachetniających każdego nowego sowieckiego gościa, zanim zrobił najmniejszy gest. I upatrujących w tym pierwszym goście początku rozległych reform.

To jednak, co od pewnego czasu dzieje się w Związku Sowieckim zasługuje na coś więcej niż wzruszenie ramionami. Ów ciąg wydarzeń, bowiem, nazywany tam oficjalnie mianem „pierestrojki” przypomina początek tak zwanej odwilży. Odwilż jest wyrazem jakiejś prawidłowości systemu komunistycznego, która stosuje się tak samo do Polski, jak do Rosji, czy Kuby. Odwilż mianowicie to pierwsze objawienie faktu, że kraj wszedł w stan czynnego kryzysu, a zarazem niezbędny pomost ku ewentualnym dalszym fazom tego kryzysu. Ku fazom, w których na scenie życia publicznego pojawia się dawno nie widziany aktor – społeczeństwo, a na porządku dnia stają fundamentalne problemy porządku społecznego i politycznego.

Tymczasem „pierestrojka” jest – jak się wydaje – zastosowaniem klasycznego instrumentu władzy komunistycznej, tak zwanej akcji, kampanii, dla ogólnie kontrolowanej oczywiście, eliminacji dotychczasowej rutyny ustrojowej (w tym części ideologicznego obrzędu), a także zapewne dla jakichś zmian instytucjonalnych. W odróżnieniu jednak od dziesiątków poprzednich akcji w stylu, na przykład „wykrywanie rezerw w gospodarce”, które nie obchodziły nikogo poza towarzystwem zza muru kremlowskiego, obecna akcja dotyczy spraw strasznie ważnych i dla inteligencji i dla zwykłych ludzi po prostu. Dotyka, dokładniej mówiąc, tych elementów rzeczywistości, które od dziesiątków lat ludziom

dokuczały, które ich wykrzywiały i przygniatały. Dotyka elementów rzeczywistości, które większość - nie widząc żadnych możliwości ich zmiany – uznała zapewne za wieczne i wobec tego głęboko skryła swój prawdziwy do nich stosunek. Swoją nienawiść. I oto teraz, to, co wydawało się wieczne zostaje poddane w wątpliwość i to przez sam Olimp.

Wśród polskiej inteligencji modna jest, jeśli tak można powiedzieć, „zinowiewszczyzna”. Przekonanie, że Związek Sowiecki składa się z dwustu kilkudziesięciu milionów zdemoralizowanych, lecz w istocie zadowolonych „ludzi sowieckich”, „Homo sovieticus”, co gwarantuje tam nieśmiertelną stabilność komunizmowi. Ja nigdy do wyznawców koncepcji Zinowiewa nie należałem. Uważam, że z wielkim talentem opisał on – jeśli tak można powiedzieć – obronną warstwę psychiki ludzkiej, która wytwarza się u każdego zmuszonego do życia w komunizmie. Otóż ta warstwa ochronna – rodzaj odcisku, będącego patologiczną reakcją na nienormalne warunki (ciasny but) – nie wyczerpuje psychiki, nawet człowieka sowieckiego, mającego najdłuższe i najcięższe doświadczenie z tą anomalią naszych czasów, jaka jest komunizm. Jestem o tym przekonany i ma nadzieję, że bieg wydarzeń w Związku Sowieckim to przekonanie potwierdzi.

Pod tą nabytą skorupą jest człowiek normalny, nie sowiecki, lecz Rosjanin, Ukrainie, Litwin i po prostu człowiek. Otóż owa odgórna „pierestrojka” pomagając ludziom, mimo woli, dokonać wielkiego odkrycia, że to co im dokucza, nie musi być wieczne, może stanowić zarazem pierwszy wyłom w „psychice sowieckiej”, poza którą Zinowiew nie widzi nic, a która mnie wydaje się właśnie skorupą.

Jeśli ona pęknie, to prędzej, czy później – mówiąc wzniośle – wejdzie na

scenę lud i stanie się czynnikiem współokreślającym dynamikę Związku Sowieckiego. Nie wiadomo, jak odległy jest ten moment. Być może jest on bliżej niż możemy sobie wyobrazić, a być może bardzo odległy. Nikt nie może teraz powiedzieć, jak daleko pójdą zmiany, które zaczęły się jakieś półtora roku temu. Pewne jest tylko, że ogromne, bezwładne koło zamachowe, jakim jest Rosja Sowiecka, ruszyło z miejsca po raz pierwszy od trzydziestu lat. Ten ruch trzeba bacznie obserwować, unikając typowej dla emigracji choroby oczu, polegającej na tym, że zmiany w kraju dostrzega się - mówiąc z pewną przesadą – dopiero wtedy, gdy rozwiązana zostaje, cenzura i policja polityczna, a najlepiej (to już z punktu widzenia polskiej radykalnej opozycji) sam Związek Radziecki.

Paryż 13 listopad 1986 r. - "Strana i Mir".

Kłopoty z socjalizmem

Motta:

„Socjalizm młodością świata” - hasło z czasów, gdy miałem dwadzieścia lat.

„Socjalizm to przeszłość” - hasło dzisiejszych dwudziestolatków z UNI i pewno z Warszawy też.

„Dokładnie nie wiemy, czym jest socjalizm” - najnowsze wyznanie polskich profesorów marksistów.

Coś się dzieje z socjalizmem. Dotyczy to zarówno ruchu komunistycznego i socjalistycznego na Zachodzie jak i owego socjalizmu realnego w krajach gdzie rządzą komuniści. Na Zachodzie obserwuje się załamanie marksizmu i jako ideologii masowej i jako mody intelektualnej wśród studentów oraz inteligencji twórczej. Maleją wpływy partii komunistycznych a dla „marksizujących” jeszcze partii socjalistycznych coraz oczywistszą jest jałowość ich dziedzictwa

ideologicznego nie dającego odpowiedzi na problemy, których rozwiązania domagają się społeczeństwa zachodnie uzależniając od tego swe decyzje wyborcze. Trzeba tu jednak przestrzec przed uproszczeniem polegającym na utożsamianiu załamania marksizmu z załamaniem lewicy jako formacji polityczno-intelektualnej. We Francji na przykład, gdzie ów odływ marksistowskiej fali - kiedyś bardzo znaczącej - jest szczególnie widoczny, nie towarzyszy temu bynajmniej proporcjonalny zwrot społeczny w kierunku prawicy. Partia komunistyczna jest, co prawda na skraju upadku, ale elektorat partii socjalistycznej raczej wzrasta w ostatnich latach. Lewica polityczna zakorzeniona jest w społeczeństwach zachodnich głęboko: na poziomie pewnych podstawowych wartości. Takich na przykład jak socjalne bezpieczeństwo, sprawiedliwość społeczna, równość i tak dalej. Te wartości zaś nie są bynajmniej w odwrocie. Tym natomiast, co się ewidentnie rozpada jest jej konkretny, historyczny kształt uformowany jeszcze w dziewiętnastym wieku. Składa się na niego po pierwsze, bardzo już dziwaczny język a ponadto worek z pomysłami na nowe społeczeństwo i narzędziami do jego budowy. Ani jedno ani drugie nie pasuje do dzisiejszego świata.

Rozwój, rozkład czy jeszcze coś innego?

Podobne w istocie przeobrażenia zachodzą w krajach rządzonych przez komunistów z tym, że od przyjścia do władzy Gorbaczowa nabrały one szybkiego tempa. Aby uwypuklić logikę a także odrębny nieco koloryt tych przemian związany z faktem, że dotyczą formacji u władzy, spójrzmy na nie z pewnej perspektywy.

Według marksistów rozwój gospodarczy dokonujący się zawsze w jakichś

ramach społecznych prędzej czy później z nich wyrasta. W rezultacie następuje odrzucenie starych i ustanowienie nowych ram umożliwiających dalszy rozwój gospodarczy. Ta myśl jako obserwacja, czyli odbicie tego, co się dzieje w życiu jest w wielu wypadkach słuszna i niewinna. Przestaje być jednak taka jako podstawa ideologii ruchu a potem władzy. W tej roli służy do wykazania, że odziedziczone instytucje określane kapitalizmem trzeba zniszczyć, bo przeszkadzają rozwojowi „sił wytwórczych” i zastąpić je innymi nazywanymi socjalizmem czy komunizmem. Jest to w tym zastosowaniu, więc myśl niszczycielska, głoszona z przekonaniem, że wie się co zniszczone być powinno i czym należy je zastąpić. W okresie komunizmu młodego prowadziła ona do prób zlikwidowania elementarnych instytucji ekonomicznego życia społeczności takich jak: pieniądz, rynek, własność prywatna a nawet osobista. Takie samo likwidatorstwo dotknęło oczywiście instytucje polityczne, ale poprzestańmy tutaj na przykładach gospodarczych. Próby te wywoływały wielkie nieszczęścia albo wręcz zbrodnie, takie jak: rosyjska kolektywizacja w latach trzydziestych, chińska rewolucja kulturalna czy masakra własnego społeczeństwa przez komunistów kambodżańskich.

W miarę jednak jak komunizm w danym kraju się starzał, radykalizm ideologii ulegał osłabieniu. I prędzej czy później przychodził moment, kiedy przyznawano, że coś uważane wcześniej za przeżytek jest nie do zastąpienia i musi być przywrócone lub zostawione poza sferą „walki klasowej”, jeśli zdołało się zachować. Dostyc szybko na przykład przyznano, że pieniądz jest wygodnym środkiem rachunkowości, płacenia za prace i kontrolowania realizacji planów, że można zostawić fragmenty rynku dla rozdziału artykułów konsumpcyjnych a także

dać ludziom pewną swobodę w wyborze miejsca pracy.

Te pierwsze otrzeźwienia polegające na uświadomieniu, że ideologia konsekwentnie zastosowana prowadzi do straszliwych konsekwencji są bardzo ważne. Zapoczątkowały one procesy trwające do dzisiaj i obejmujące coraz więcej krajów komunistycznych w tym także Polskę, która zresztą jest pod tym względem w czołówce. Na te procesy można patrzeć różnie w zależności od stosunku, jaki się ma do systemu. Ci, co go popierają, lecz chcą zreformować, widzą w zdejmowaniu kłatwy z kolejnych składników gospodarczego dziedzictwa przeszłości objawy rozwoju, postępu dokonującego się w ramach nowej ustrojowej konstrukcji. Aby ten rozwój przyspieszyć starają się wykazywać, że instytucje ekonomiczne uważane poprzednio za typowe dla kapitalizmu i wobec tego ideologicznie skazane na zniszczenie, są na prawdę uniwersalne, zawsze potrzebne do tego by sprawnie gospodarować, którym nowy ustrój na dodatek stwarza lepsze otoczenie. Od pięćdziesiątego szóstego roku na przykład próbuje się w ten sposób przyprawić sierp i młot zyskowi dowodząc, że jest zgodny z socjalizmem i na dodatek może służyć mu lepiej niż służył kapitalizmowi. Do tego ciągle zresztą nie uwieńczonego pełnym sukcesem procesu rehabilitacji doszły w ostatnich latach nowe. Tym razem chodzi o „uniewinnienie” instytucji jeszcze ściślej niż zysk łączonych z kapitalizmem takich jak rynek kapitałowy, akcje, obligacje, czy giełda. Co więcej kruszy się dogmat o tym, że własność państwowa jest najwyższą formą własności a wraz z tym widać początek ideologicznego wybielania własności prywatnej oraz reprivatyzacji, która nie koniecznie już musi oznaczać kurczenie się socjalizmu. Ten proces na razie odnosi większe sukcesy, gdy chodzi o myślenie niż o praktykę

gospodarczą. Jego postępy w sferze myślenia objawiają się w tym, że socjalizm w wyobrazeniach swych zwolenników ma coraz mniej cech, jakie miał mieć początkowo, za to coraz więcej cech, które jeszcze do niedawna były nieodłączną przywarą kapitalizmu. W rezultacie czego, sam kapitalizm staje się coraz bardziej pusty, gdy chodzi o treść właściwą tylko jemu a więc zaczyna znikać jako obiekt odrębny. Można, więc zrozumieć dezorientację profesorów-marksistów zacytowaną na początku, którym „wczorajszy” wróg i „jutrzejszy” socjalistyczny finał coraz bardziej się na siebie nakładają i już nie bardzo wiadomo, co jest czym.

A jednak kapitalizm, choć wydrążany z treści pozostaje nadal „na służbie” jako ta stara formacja skazana na ustąpienie miejsca prędzej czy później ustrojowi nowemu. Pozostaje na służbie by podtrzymywać najważniejszą konstrukcję ideologii komunistycznej, że oto budując nowy ustrój idziemy od czegoś przeżytego ku czemuś z przyszłością. Gdy ta konstrukcja się załamuje, kiedy jasne zaczyna być, że dostępna jest tylko ścieżka powrotu a więc i odwrotu, wówczas wyznawca komunizmu musi stanąć przed prawdziwie egzystencjalnym pytaniem: komu właściwie i po co jestem potrzebny. No właśnie, im bogatsze w stare idee, w stare instytucje i w stare reguły stają się programy - jak to się mówi - dalszego rozwoju socjalizmu tym oczywistsze jest, że ustrój w swej rodzimej, oryginalnej warstwie jest bezpłodny, w istocie nie reformowany. Że nie ma zacytowanego, z którego wyrosłyby specyficzne dla niego formy życia gospodarczego - i politycznego - zdolne rozwiązywać problemy, przed którymi ten ustrój jest stawiany, a jego jedyną ścieżką „rozwoju” prawdziwie oryginalnego, jest rozwój obozów pracy. Wszystko inne to albo stagnacja albo próba wzmocnienia swych sił twórczych przez

imitowanie coraz to nowych instytucji należących do rzekomo przeżytej formacji. Takie picie kapitalistycznej krwi. Jest to niewątpliwie postęp. Nie polegający jednak na rozwoju wyjściowej, klasycznej formy ustrojowej, tak jak to było choćby w przypadku owego kapitalizmu, który napotykać problemy znajdował - prędzej czy później - właściwe dla siebie metody wystarczająco skuteczne by nie musiał szukać ucieczki w naśladowaniu czy wręcz w powrocie do instytucji feudalnych. I takie reagowanie zasługiwało na miano rozwoju. Do tego, co przeżywa dziś cała formacja komunistyczna o wiele lepiej jak się wydaje pasuje takie słowo jak rozkład, to znaczy dekonfiguracja pewnej konstrukcji, która powstała jako mieszanka ideologii i doraźnych recept na chaos porewolucyjnego okresu w Rosji. Dekonfiguracja, rozmontowywanie się tej konstrukcji wskutek wielu porażek praktycznych, głównie, ale nie tylko gospodarczych, którym nie udało się zapobiec przez takie czy inne modyfikacje wyjściowego systemu. Dziś jasne jest - także dla zwolenników realsocjalizmu - że cały kodyfikacyjny repertuar, czyli wszelkie możliwości reform i rozwoju oryginalnego zostały przetestowane z wynikiem negatywnym, wobec czego pozostaje jedyna alternatywa: stagnacja albo postępowy marsz wstecz.

Granice rozkładu

Interpretacji tego, co się dzieje od pewnego czasu w Związku Radzieckim a także w Polsce i niektórych innych krajach bloku jest oczywiście więcej i zależą one - jak już wspomniałem - bardzo silnie od politycznego stanowiska tego, kto je daje. O rozkładzie mówi się wśród opozycji, ale słychać tam też opinie, że to wszystko zmiany pozorne czy wręcz manipulacje dla zmylenia własnych

społeczeństw albo Zachodu. W kręgach związanych z systemem opinii są także różne. Oprócz reformatorów mówiących o rozwoju są także konserwatyści alarmujący o wyprzedawaniu socjalizmu. Zważywszy subiektywny charakter tych interpretacji można by je zostawić na boku jako objawy propagandowego pojedynku między różnymi skłóconymi stronami. Nie jest to jednak takie proste. Sposób widzenia zachodzących zmian ma znaczenie po pierwsze, dla trafności i skuteczności poczynań reformatorskich, po drugie, dla przybliżenia do siebie różnych sił opowiadających się za głębokimi przekształceniami obecnej rzeczywistości gospodarczej i politycznej. W obydwu przypadkach ważne jest jak daleko sięgają zjawiska rozkładu. Albo - mówiąc językiem bardziej neutralnym - co powinno być usunięte, aby rzeczywistość gospodarcza i polityczna - w dzisiejszych krajach komunistycznych stała się normalna? Otóż, wszystko wskazuje na to, że martwy jest cały rodzimy, jeśli tak można powiedzieć, pień ustroju. Na ten rodzimy pień składa się najpierw zasada społecznej własności środków produkcji. W praktyce była ona dotąd równoznaczna z oddaniem gospodarki w ręce biurokracji państwowej i partyjnej, centralnej bądź lokalnej, prowadząc do braku troski o narodowy majątek, do zduszenia inicjatywy ekonomicznej społeczeństwa i do wykształcenia struktur ekonomicznych marnotrawiących środki, niszczących przyrodę i odwróconych od potrzeb konsumentów. Zwolennicy gospodarki opartej o dominację tej formy własności nie mają żadnej koncepcji, która dawałaby rozsądne nadzieje na usunięcie wymienionych wad a także na ujawnienie się jej przewag w stosunku „niesocjalistycznych” form własności, które to przewagi jak dotąd, można znaleźć tylko na stronicach marksistowskich podręczników ekonomii.

Drugi martwy element ustrojowego pnia to zasada planowania centralnego, która w praktyce była i jest odbiciem nadrzędności państwowego dyrygowania, w oparciu nie o interes społeczny jak głosi teoria, lecz o zadania najsilniejszej, najbardziej wpływowej w danym momencie grupy w ramach biurokracji. Planowanie centralne takie, jakie znają wszystkie kraje realnego socjalizmu, to także procedura niszcząca mechanizmy rynkowe, czyli to otoczenie, które jest niezbędne dla uzyskiwania wysokiej sprawności gospodarczej. Również i tutaj nie ma żadnych nowych idei - znowu poza inkorporacją „planowania” kapitalistycznego – które by pozwalały przypuścić, że ten prawdziwy komunistyczny bożek zacznie wreszcie dawać te obfite dobrodziejstwa podręcznikowe. Nie jest też prawdą, że oba wymienione filary systemu kiedyś się dobrze sprawowały. W rzeczywistości nie były to nigdy rozwiązania pozwalające na uzyskiwanie wysokiej sprawności gospodarczej. Były to od początku budowle ślepej uliczki. Istnieją poważne studia wykazujące, że gdyby nie rewolucja październikowa, która przerwała naturalny proces industrializacji Rosji byłaby ona dziś gospodarczo lepiej rozwinięta niż jest. Także inne kraje komunistyczne: europejskie i pozaeuropejskie nie są świadectwem szczególnej zdolności tej konstrukcji ekonomiczno-politycznej do zapewnienia rozwoju gospodarczego zdrowego i stosownego do potencjału danego kraju. Najbardziej chyba jaskrawym przykładem jest ponury marazm Korei Północnej i rosnąca wielka potęga gospodarcza Południa. Ale wymowne byłoby też porównanie krajów byłych Austro-Węgier czy RFN i NRD. Nie ma też żadnego rzeczowego uzasadnienia nadzieja, że co prawda owo uspołecznienie i planowanie nie spełniają dzisiaj oczekiwań, ale ich czas nadejdzie. Wobec tego skoro je już mamy

przedwcześnie to przechowajmy ten pierwiosnek socjalizmu do właściwych mu czasów wpuszczając na razie tu i ówdzie trochę kapitalizmu. Takie rozumowanie spotyka się nadal bardzo często wśród związanych z systemem osób. W tym i tych, które widząc jego niewydolność opowiadają się za zasadniczymi reformami. Otóż tego rodzaju nastawienia wynikające z utrzymywania się złudzeń ideologicznych będą zawsze powodowały niekonsekwencje w koncepcjach zmian i w ich realizacji przyczyniając się do porażek kolejnych prób reform. Ich wpływ można dostrzec również w obecnym drugim etapie, który już grzęźnie w obawach, że pójdzie się za daleko i wyrządzi nieodwracalną szkodę socjalizmowi.

Wracając do pytania o zasięg zjawisk rozkładu można, więc odpowiedzieć, że widoczne są one tam gdzie wychodząc kiedyś od socjalistycznej myśli zdecydowano nie tylko ukształtować inaczej politykę socjalną i system podziału dóbr, lecz także zmienić radykalnie sposób produkcji likwidując własność prywatną i gospodarkę rynkową. Krótko mówiąc martwy jest socjalizm jako system gospodarowania. Widać to oczywiście w pierwszym rzędzie na przykładzie krajów gdzie ten system panuje, ale ten sam wniosek można wyprowadzić z różnych socjalistycznych eksperymentów w dziedzinie produkcji, jakie robiono na Zachodzie. Przykładem najnowszym a nie wykluczone, że i ostatnim, była próba zerwania z kapitalizmem przez socjalistów francuskich na początku tego dziesięciolecia. Jak wszystkie inne skończyła się ona wielkimi trudnościami ekonomicznymi kraju, wymierzając przy okazji śmiertelny cios tradycyjnym gospodarczym koncepcjom lewicy marksizującej. Nie ma ona dzisiaj koncepcji dotyczących sfery gospodarowania, które byłyby wyprowadzone z jej ideowego

dziedzictwa i pozostawały wiarygodne, nie skompromitowane przez minione klęski. Niepowodzenie socjalizmu jako systemu gospodarowania jest więc zjawiskiem powszechnym, planetarnym i wobec tego główną wytyczną procesu reformatorskiego w Polsce, także dla osób o socjalistycznej orientacji powinna być perspektywa likwidacji tego systemu, ponieważ trwanie przy nim jest trwaniem przy rozwiązaniach nie dających naszemu krajowi przyszłości.

Dziecięca choroba prawicowości.

„Domagajmy się likwidacji socjalizmu” - powiedział nie tak dawno Kisiel w wywiadzie dla Tygodnika Mazowsze i to był moim zdaniem postulat odważny i słuszny pod warunkiem - powtarzam - że mamy na myśli socjalizm jako system tak zwanych stosunków produkcji. Nie ma natomiast powodu by rozciągać ten postulat na socjalizm jako inspirację dla całej gamy polityk socjalnych czy też sposobów podziału dóbr zwanych w oparciu głównie o doświadczenie Zachodnio-Europejskie „państwami dobrobytu” czy „państwami opiekuńczymi”. W tej roli bowiem może się on wykazać wielkimi osiągnięciami i nadal zachowuje żywotność a te opiekuńcze państwa mimo krytyk, jakim są ostatnio poddawane i mimo likwidacji takich czy innych przesadnie opiekuńczych rozwiązań trzymają się zupełnie dobrze.

Omawiając tendencje ostatnich lat pisze Raphael Hadas-Lebel profesor prestiżowego paryskiego Instytutu Nauk Politycznych: „Zmniejszanie kontroli, dereglamentacja, reprivatyzacja, zmniejszenie podatków, redukcja deficytu budżetowego wszystkie te rozsądne zresztą posunięcia zmierzały do odwrócenia tendencji, która bez względu na kolor polityczny rządów nie przestawała nasilać się przez ostatnie stulecie, tendencji do coraz większego interwencjonizmu państwa.

Ale równocześnie można było zauważyć, że „reaganomics” ma także swe granice. Liberalizacja nie zmniejszyła skali obowiązkowej redystrybucji środków społecznymi kanałami publicznymi a reprivatyzacja nie położyła kresu wpływom ulicy Rivoli (siedziba francuskiego ministerstwa finansów - W.K.). Colbertyzm nie jest martwy!” Państwa opiekuńcze także. Są one bowiem przykładem rzeczywistości społecznej, w której osiągnięto najlepszą jak dotąd równowagę między wymaganiami sprawnej wytwórczości a potrzebą pewnego bezpieczeństwa socjalnego przede wszystkim dla tych, którzy będąc mniej zdolnymi i dynamicznymi mają prawo do minimum egzystencji, jako ludzie po prostu. Warto też zauważyć, że w czasie, gdy na wysoko rozwiniętym Zachodzie raczej słabnie ofensywa przeciwników państw opiekuńczych, bo do zaatakowania są teraz już bardzo mocno osadzone ich bastiony, w tym samym czasie w nieopiekuńczej raczej Korei Południowej rośnie w siłę ruch społeczny domagający się zdobyczy, które kiedyś zapoczątkowały opiekuńczą budowlę kapitalistycznej Europy. Od pierwszego kwietnia tego roku weszły w życie na przykład postanowienia o wprowadzeniu minimalnej płacy gwarantowanej, o 48 godzinnym tygodniu pracy, o pięćdziesięcioprocentowym dodatku do płacy za godziny nadliczbowe, których ilość maksymalna w tygodniu nie może przekroczyć dwanaście. Weszło także w życie nowe ustawodawstwo związkowe znoszące zasadę, że można utworzyć związek zawodowy dopiero wtedy, gdy wstąpi do niego co najmniej 20 % zatrudnionych w przedsiębiorstwie (zasada, że w jednej fabryce może być tylko jeden związek - jak w PRL - obowiązuje nadal). Od państw opiekuńczych, jakie znamy z naszego kręgu cywilizacyjnego Koreańczycy są jeszcze odlegli, ale idą w

tym kierunku pod naciskiem „ludowych mas”. Nie są to więc idee martwe, lecz co najwyżej w okresie pewnego wytracenia dynamizmu i to tam gdzie doszło do przesady. W Polsce na pewno do niej nie doszło. W związku z tym zdziwienie budzi zapal, z jakim nasza opozycja liberalna, czyli ta która domaga się przywrócenia kapitalizmu, atakuje idee państwa opiekuńczego. Jeżeli ma to być zakamuflowany atak na system to chybia on celu, bo komunistyczne państwo nie jest bynajmniej państwem opiekuńczym, jeżeli słowu opieka pozostawiamy jego właściwe znaczenie. Opieka bowiem wynika z troski o bliźniego, podczas gdy opiekuństwo państwa komunistycznego jest fragmentem systemu nadzoru nad obywatelem i przypomina bardziej opiekę, jaką otoczeni są więźniowie a ponadto czasami jest odbiciem niesprawności samego systemu. Pełne zatrudnienie w krajach komunistycznych na przykład wynika głównie z żarłoczości gospodarki na wszystkie czynniki produkcji więc i na pracę. Jest więc co najwyżej opiekuństwem mimo woli i to bardzo marnym.

Atakowanie państwa opiekuńczego na polskim gruncie wydaje się również błędne taktycznie i w pewnym sensie podszyte fałszem. Sugeruje ono mianowicie, że jeżeli kapitalizm kiedykolwiek zjawi się znów nad Wisłą to tylko w postaci dziewiętnastowiecznego mustanga z Dzikiego Zachodu i z hasłem niech żyją silni, niech toną słabi. Otóż takiego kapitalizmu nie ma dziś na świecie w najbardziej kapitalistycznych krajach a temperatura liberalnej wiary u niektórych jej wyznawców nad Wisłą przypomina „dziecięcą chorobę prawicowości”.

Ponadto po czterdziestu przeszło latach antykapitalistycznej indoktrynacji w społeczeństwie polskim zakorzenione są szeroko i głęboko uprzedzenia do

kapitalizmu opierające się głównie na obawach, że jest to ustrój zostawiający słabych na pastwę losu i silnych. W tych warunkach wprowadzanie do obiegu publicznego postulatu rekapitalizacji gospodarki polskiej - co uważam za wielką zasługę naszych liberałów - pod sztandarem doktryny liberalnej i to często interpretowanej bardzo skrajnie, musi osłabiać atrakcyjność takiego zamierzenia w oczach szerokiej publiczności. Wystawia je też na łatwe, czasem i demagogiczne ataki zwolenników socjalizmu zarówno z obozu rządowego jak i z opozycji. Nie ma żadnego powodu by perspektywa pełnego powrotu do mechanizmów ekonomicznych typowych dla Zachodu wymagała jednoznacznego opowiedzenia się za Friedmanem przeciwko Keynesowi, za kapitalizmem amerykańskim przeciwko kapitalizmowi szwedzkiemu. W Polsce spór na ten temat, wyjąwszy ściśle akademickie dyskusje, jest przedwczesny, najpierw bowiem muszą być stworzone warunki instytucjonalne, w których ewentualne kontrowersje tego typu będą miały znaczenie praktyczne. Liberałowie mają oczywiście pełne prawo występować i dziś pod sztandarami swoich mistrzów dowodząc, że proponowane przez nich rozwiązania są lepsze niż inne. Nie mogą natomiast i nie powinni uzurpować sobie prawa wyłączności na handel kapitalizmem w Polsce przez wmawianie klientom, że inne „firmy” poza ich własną już zbankrutowały. Taka uzurpacja byłaby bardzo nieliberalna.

Parę uwag na zakończenie

Czytelnik powyższych uwag mógł pewno odnieść wrażenie, że jestem jakoś szczególnie związany z socjalizmem czy lewicą. To nie prawda. Uważam natomiast, że potrzebne jest w Polsce zbliżenie do siebie sił reformatorskich.

Znajdują się one zarówno w obozie rządowym jak i w opozycji. Ze względu na zupełnie podstawowy konflikt ustrojowy dzielący te dwie strony trudno wyobrazić sobie sojusz między nimi. Celowe byłoby jednak i być może realne pewne przybliżanie perspektyw polegające na pozbywaniu się resztek utopii przez jedną ze stron a jeśli tak można powiedzieć „restauracyjnej skrajności” przez drugą. Jak powiedziałem wyżej uważam, że socjalizm jako system gospodarowania jest bez przyszłości a zatem podstawową wytyczną procesu reformatorskiego w Polsce formułowaną bez jakichkolwiek ogródek powinien być powrót do gospodarki kapitalistycznej. Jest to zadanie na całą epokę. Przejście od gospodarki skrajnie zetatyzowanej i centralistycznie zarządzanej od pięćdziesięciu bez mała lat do gospodarki w pełni rynkowej i zreprivatyzowanej to problem, którego jeszcze nikt nie rozwiązał. Nie powinno być żadnych złudzeń, co do ogromnej trudności tej „zagadki”. W moim jednakże przekonaniu będzie ona ostatecznie rozwiązana tak czy owak. Lepiej więc zmierzać do tego z pełną świadomością, (choć nie koniecznie z głośnymi deklaracjami) niż metodą skoków i odwrotów wynikającą z niezdolności reformatorów rządowych (a także części opozycyjnych) do pozbycia się resztek socjalistycznej fatamorgany. Dla zachęty warto może przytoczyć następujące słowa prezydenta Pekinu Xu Jiatun, wypowiedziane podczas jego niedawnej wizyty w Hong-Kongu: „Niektórzy towarzysze - mówił on - obawiają się kapitalizmu, ponieważ niewiele o nim wiedzą. Nie biorą pod uwagę, że kapitalizm bardzo się od czasów Karola Marksa zmienił. W rzeczywistości system nowoczesnego kapitalizmu jest największym wynalazkiem ludzkiej cywilizacji.”

Święte słowa.

Rekapitalizacja gospodarki polskiej nie będzie oznaczała jednak, że wraz z nią skończy się definitywnie historyczna rola formacji socjalistycznej czy tym bardziej lewicy jako takiej, co niekiedy sugerują liberalni neofici. Przeciwnie: doświadczenie „zsocjalizowanego” kapitalizmu europejskiego dowodzi, że gospodarka rynkowa i prywatna jest wdzięcznym terenem dla urzeczywistniania wielu idei ruchu socjalistycznego włącznie z ideą pewnego sterowania nią przez władze publiczne. Pamiętamy stary dowcip o tym jak to Karol Marks przeszedł do NRD, lecz Kapitał pozostał w Republice Federalnej. Nie wykluczone, że prawdziwa jest obserwacja bardziej stanowcza, iż w gruncie rzeczy socjalizm pozostał na kapitalistycznym zachodzie, podczas gdy na wschód udały się jego wypaczenia.

Sartrouville, marzec 1988.

Powrót społeczeństwa cywilnego.

Motto: „*Bo cóż drąży kształt przyszłych przestrzeni
Jak nie rzeka podziemna?
Groty w skalach wypłucze, żyły złote odkryje...*”
Jacek Kaczmarski - Źródło. 1978.

W żadnym opanowanym kraju komunizm nie obył się bez potężnego uderzenia we wszystkie zastane grupy społeczne po to, by je rozbić, rozproszkować i z powstałej miazgi tworzyć potem nowe struktury o stosunkach całkowicie upaństwowionych, to znaczy kontrolowanych przez władzę. Te wielkie uderzenia polegały na skojarzeniu prześladowań, penetracji policyjnej oraz masowego donosicielstwa, będącego przy okazji rodzajem deklaracji lojalności a także

sposobem skierowania zagrożenia na sąsiada. Siały lęk, który stawał się bardzo ważnym, wręcz głównym katalizatorem i spoiwem „nowego socjalistycznego społeczeństwa” a mierzyły głęboko, bo aż w tak pierwotne grupy społeczne jak rodzina. Śladem tego był na przykład mit Pawlika Morozowa, który zadenuncjował ojca a potem podawany był przez parę dziesięcioleci jako wzór do naśladowania dla młodzieży w ZSRR, jako bohater pozytywny, który postawił rewolucję i władzę radziecką ponad rodziców. Komunizm powstawał więc zawsze i wszędzie, jako strach przerabiany na stosunki społeczne a wśród różnych zachowań ludzkich z tych „czasów początku” nie ma moim zdaniem takich, w których nie byłby wpleciony tak lub inaczej silny - mówiąc ostrożnie - czynnik lęku. Mówię ostrożnie, bo być może temu potężnemu uczuciu idącemu z głębin naszego instynktu samozachowawczego trzeba by przypisać główny, co nie znaczy, że zawsze w pełni uświadomiony - wpływ na ówczesne zachowania mas i elit. A także na rozkwit filozofii usprawiedliwień różniących się zależnie od osobowości, lecz wiodących zawsze (również w przypadku emigrantów wewnętrznych) ku finałowi zawierającemu czynnik bezpiecznej przystani. Dlaczego by społeczeństwo uderzone potwornym obuchem nie miało rozbiec się jak mrowisko w poszukiwaniu różnych schronień, także pod skrzydłami komunizmu? Minęły lata, przesunęło się kilka pokoleń, a system stracił wiele ze swego represyjnego zapału. Mimo tego ślady owej pierwotnej akumulacji strachu zostały. Jeszcze dziesięć lat temu w czasach gierkowskiego liberalizmu było ich tyle, że mógł powstać „Traktat o gnidach”, który jest przecież drugim tomem „Zniewolonego umysłu”. Takim „Dwadzieścia lat później” opisującym uzasadnienia zachowań zatrzymujących nas

w cichej przystani, gdzie można się nie bać. A i dzisiaj ciągle jest nie mało ludzi, którzy nie powiedzą publicznie do końca tego co myślą, pójdą wrzucić kopertę do urny albo na pochód pierwszomajowy dla spokoju a dziecko idące do szkoły ostrzegą, by uważało co mówi. Strach przerobiony na stosunki społeczne. Miały one być całkowicie upaństwowione, to znaczy eliminujące wszelkie kontakty nie objęte przyzwoleniem oraz nadzorem władz, czyli znoszące społeczeństwo cywilne. Taka była tendencja, ale nigdzie nie dało się zrealizować jej w stu procentach.

Rodziny, grupy koleżeńskie - w Polsce: Kościół, środowiska parafialne, społeczności wiejskie, chłopci jako niezależni producenci - wszystkie te struktury, choć poddane ciężkiemu obciążeniu w zasadzie przetrwały pozostając stosunkowo niedostępne dla penetracji i donosu. Potem z tych obronionych rezydów społeczeństwa cywilnego wychodziły kontrofensywy. Silniejsze w jednych krajach, słabsze w innych - zależnie od wielu okoliczności, w tym i od tradycji - były one wszędzie odbiciem pragnienia by żyć normalnie, które - nigdy nie wytrzebione - powracały jako silny bodziec odporu, gdy powstawały bardziej sprzyjające warunki, gdy tylko trochę słabł terror. Żyć normalnie; więc bez lęku by słowem, gestem czy czynem, nie ściągnąć represji na siebie i rodzinę; więc bez kłamliwej propagandy prasy, afiszów, mówców, ale i bez własnych fałszywych zachowań czy zaniechań, wymuszonych obawą przed podejrzeniem o niełojalność; więc także w jakim takim dostatku, w otoczeni środowiska, rzeczy, urzędów, stosunków pracy, nastawionych na to, by ludziom służyć, a w każdym razie nie na to by ich przygniatać. Być może za najwcześniejszy objaw nabierającego siły sprzeciwu wobec obecnych wszędzie państwowych standardów trzeba by uznać kolorowe skarpetki, jazzową muzykę i te

kołnierzyki od koszul przerabiane na zachodnią modę przez Leopolda Tyrmanda. Nasilając się i słabnąc w ciągu kilkudziesięciu lat, wzbogacając swe środki odporu, obejmując pola dodatkowe i ożywiając nowe środowiska - także część związanych z systemem - kontrofensywy te usunęły groźne a potem już raczej tylko dręczące wścibstwo ideologii, partii i państwa z wielu dziedzin a w wielu innych poważnie je ograniczyły. Wychowywanie dzieci, nauka, sztuka, literatura, religia, to w niejednym kraju komunistycznym strefy cywilne całkowicie, lub odetatyzowane w bardzo poważnym stopniu i to nie od dziś. A przecież ostatnie dziesięć lat to okres dodatkowych wielkich postępów, gdy chodzi o Polskę w każdym razie. Doszła cała strefa podziemnego życia społecznego z jego najrozmaitszymi strukturami i wolną działalnością wydawniczo-prasową na czele. Doszła nie mała sfera działań i struktur jawnych, choć nie zalegalizowanych, lepiej lub gorzej znoszonych przez władze. Rozbudował się i rozbudowuje ciągle segment życia publicznego legalnego i równocześnie niezależnego od państwa. Należy do niego prasa katolicka i coraz liczniejsze organizacje będące wynikiem obywatelskich inicjatyw a potem często upartych i trudnych, lecz ostatecznie skutecznych zabiegów o legalizację. Te przyrastające w miarę upływu lat „słoje” społeczeństwa cywilnego tworzą już dziś rozległą przestrzeń prawie normalnego życia publicznego, w której - zaspakajając potrzebę bycia w szerszej społeczności - można robić różne rzeczy pożyteczne dla kraju przy minimalnych albo i żadnych koncesjach na rzecz systemu. Nie jest to jeszcze życie poza komunizmem, ale jest to już życie w pewnej od niego separacji. A trzeba pamiętać, że były czasy, kiedy nawet rodzina wydawała się niepewnym miejscem schronienia. Ten niekwestionowany postęp jest skutkiem wielkiej pracy

społecznej, mozolnego wysiłku paru pokoleniowych zmian na przestrzeni dziesięcioleci. Nie wolnego od dramatów. Oglądany na całej rozciągłości powojennego czasu tworzy on obraz zmagania ludzkiego pragnienia wolności, więc i normalności z patologicznym skrzywieniem naszej cywilizacji, jakim jest komunizm. To prawdziwa epopeja. Ogólnonarodowa w gruncie rzeczy, bo w tej pracy ma swój udział także nie mało ludzi z czerwoną legitymacją. To trzeba powiedzieć, by nie zubożyć obrazu przez schemat. Epopeja optymistyczna także. Jeśli bowiem weźmie się stosowny dystans do wydarzeń - to jak na dłoni leży przed nami fakt, że komunizm, choć reformować się nie daje, to spychać z tkanki społecznej się daje. I jest spychany także przez rewolucję a nawet i bez rewolucji, przez tę cierpliwą, drażącą „rzekę podziemną” zaś ostatnie słowo w tej sprawie padnie przypuszczalnie z ostatnimi bastionami systemu.

Spółczeństwo cywilne a nomenklatura.

Gdy chodzi o zmniejszanie dewastacyjnych skutków nomenklatury postępująca rekonstrukcja społeczeństwa cywilnego ma znaczenie pierwszorzędne. Z chwilą, gdy przekracza ona sferę prywatności i zaczyna obejmować przejawy życia zbiorowego, tworzy nowe role publiczne i nowe stanowiska zwykłe a także kierownicze. Role i stanowiska wymagające - jak powiedziałem wyżej - uzdolnień przywódczych, menażerskich a obsadzone w drodze naboru niezależnego. Ma to ważne skutki.

- Po pierwsze - stwarza szansę dla ujawniania się i realizowania w pożytecznej pracy publicznej nieprzeciętnych jednostek z tej ogromnej większości, dla której mechanizmy nomenklatury rezerwują rolę szeregowców. Tą drogą, więc

hamowany może być ów wyciek talentów w nicość (albo na emigrację - gdy istnieją takie jak w Polsce możliwości wyjazdu z kraju), powodowany przez zawężenie awansu kadrowego do ośmiu procent narodu. Staje się to szczególnie znaczące, gdy w sferze niezależnej od partii i państwa - obok ról czysto altruistycznych, które pełni się pracując dla idei - powstają normalne stanowiska w zorganizowanych strukturach pozwalające na utrzymanie rodzin i otwierające drogę do karier osobistych. Tak długo, bowiem, jak długo społeczeństwo cywilne odtwarza się wyłącznie w dziedzinie ról altruistycznych, tak długo pozostaje ono społeczeństwem „po godzinach pracy”. Ważnym i cennym, choć często niebezpiecznym hobby ubarwiającym życie, biegnące jednak głównym swym korytem w domenę nomenklatury, która nawet wtedy, gdy nie awansuje, to jednak żywi a więc ciągle do siebie przywiązuje i jakoś na swoją modę przerabia. Moment, gdy w świecie niezależnym oprócz wolności pojawia się również chleb, oznacza skok jakościowy, gdy chodzi o wzrost siły jego fundamentów. Stąd też sprawą szczególnej wagi jest wspieranie wszystkiego, co prowadzi do rozszerzania zakresu prywatnej i grupowej działalności ekonomicznej kierowanej motywem zysku i dorobienia się nawet, jeżeli powoduje to:

- a)Komercjalizację niektórych czysto ideowych wcześniej działań jak na przykład działalności wydawniczej;
- b)Wycofywanie się czasami ludzi rozpoczynających prywatną działalność gospodarczą z czynnej pracy opozycyjnej;
- c)Pojawianie się w sferze gospodarki prywatnej osób związanych wcześniej z aparatem władzy;

d)Konieczność utrzymywania dobrych stosunków czy nawet wchodzenia w układy z administracją lokalną.

Na każdy z tych punktów można patrzeć ewentualnie jako na składnik ceny za rozszerzenie sfery społeczeństwa cywilnego na działalność gospodarczą i wielkie przez to jego wzmocnienie. Użyłem określenia „ewentualnie”, bo nie jest wcale pewne czy wymienione wyżej skutki muszą być uważane za cenę. Książki wydaje się na świecie nie tylko dla idei, lecz także po to by przy okazji zarobić albo odwrotnie: wydając je dla zysku robi się to przy okazji z myślą o jakiejś idei. Człowiek stający się przedsiębiorcą i wzbogacający przez to świat dóbr materialnych pełni rolę godną nie mniejszego szacunku niż działacz polityczny, także opozycyjny. Jest lepiej, gdy związani z władzą w przeszłości lub nawet aktualnie, biorą się za coś pożytecznego, niż gdyby mieli pisać protokoły przesłuchań. Wreszcie, na całym świecie ludzie interesu chcą mieć dobre stosunki z władzą a przynajmniej nie być z nią otwarcie na noże. Dlaczego w Polsce miałyby być inaczej? Te wątpliwości nabierają właściwego wyrazu, gdy odrzuci się moralizatorskie wyobrażenia o społeczeństwie cywilnym jako królestwie wyzwolonych z totalitaryzmu, którzy przez ten akt stają się wszyscy - na dodatek - czynnymi działaczami opozycji i równocześnie aniołami. Takie wyobrażenia, choć nie koniecznie wypowiedane wprost, istnieją w tych szczególnie kręgach, które pierwsze podjęły ową wspomnianą wyżej kontrofensywę. Przypisując swej misji, swemu działaniu, jedynie pobudki ideowe, uważano tam za normalne, że w sferach wyzwolonych od komunizmu panować winna nie tylko wolność, lecz także prawda i parę innych wzniosłych ideałów. Jak powiedziałem, nie chodzi tu o sformułowane

stanowisko, lecz o skłonność ideologiczną. Polega ona na utopijnym, bo nieziszczalnym wymaganiu, by świat codziennych zachowań ludzkich rządzony był wyłącznie przez wartości uroczyste. Uważając zaś, że tak może być, obciąża się wyłączną odpowiedzialnością za rozerwanie tego bezpośredniego związku komunizm, zmuszający do życia „w kłamstwie”. Innymi słowy chodzi mi tutaj o zintelektualizowane wydanie rozpowszechnionej wśród żyjących pod panowaniem komunizmu skłonności do upatrywania w nim źródeł wszelkiego zła. Również i tego, które nie ma niczego wspólnego z komunizmem, lecz jest na przykład naszym własnym polskim złem wleczonym przez stulecia czy po prostu złem uniwersalnym i wiecznym. Te skłonności i wyobrażenia wskutek nadzwyczajnych postępów w rozwoju niezależnego życia publicznego w Polsce dosyć szybko znalazły się w konflikcie z faktami, co było widoczne szczególnie w okresie „Solidarności” legalnej. Ruch, bowiem powstał z ludzi zwyczajnych, normalnych, którzy wnieśli do niego cały wachlarz pobudek i emocji, także złych i okazało się - ku nieprzyjemnemu zdumieniu niejednego weterana kontestacji - że życie w „Solidarności” też było często życiem w kolizji z wartościami. Tym, co ją założyli nie chodziło o ustanawianie nowego rajy na ziemi, lecz o przywrócenie wolności. Im, takim, jakimi byli i jakimi pozostali. Społeczeństwo cywilne, nawet, jeżeli odradza się przy wielkim udziale opozycyjnej awangardy to odradza się ono nie dla niej, ale dla siebie samego, jako sfera Polski normalnej a nie Polski idealnej. Diabeł zaś występuje nie tylko pod gwiazdą czerwoną, lecz i pod opozycyjną a wolność musi być także wolnością dla niego, albo nie istnieje. Wracając po tej dygresji do tematu: ma, więc być może sens rozważanie jak zmniejszyć wymienione wyżej

następstwa rozszerzania się społeczeństwa cywilnego na sferę ekonomiczną uważając jednak by nie szkodzić głównemu procesowi polegającemu na likwidowaniu wpływów przerośniętego państwa w dziedzinach, które powinny być zarezerwowane dla swobodnej, choć nie koniecznie świętej, inicjatywy obywateli.

- Po drugie - poszerzenie się stref niezależnej od państwa aktywności społecznej może mieć i zapewne w przypadku Polski już ma poważny wpływ na kalkulacje i zachowania wszystkich dynamicznych, uzdolnionych jednostek. Także tych - chodzi głównie o część młodzieży - które do zrealizowania własnych aspiracji gotowe są przyjąć warunki umożliwiające im awans oficjalny, jeśli nie byłoby innego wyboru. I dodatkowo, również tych, co takie decyzje podjęli w przeszłości - jako ze swego punktu widzenia mniejsze zło - gdy jedynym innym wariantem było dobrowolne skazanie się na szeregowy los bezpartyjnego. Otóż odradzające się społeczeństwo cywilne, gdy tylko zaczyna stwarzać dające dochody stanowiska, powołuje również własne drabiny awansu i wzorce karier często bardziej interesujące od tych z nomenklatury a na ogół zdrowsze, jeśli chodzi o następstwa dla własnej osobowości. Nomenklatura, bowiem oprócz ujemnych skutków wymienionych poprzednio, ma jeszcze jedno wiążące się z jej - jeśli tak można powiedzieć - grzechem pierworodnym. Cała instytucjonalna machina państwa komunistycznego (jak każdej zresztą dyktatury) nie jest wytworem woli społecznej, lecz pozostałością gwałtu zadanego społeczeństwu przez jego mniejszość - często przy naczelnej roli obcych jak w przypadku Polski i pozostałych krajów Europy Wschodniej, z wyjątkiem być może Jugosławii. Wywodząc się z gwałtu struktura ta musi być tak ukształtowana by przede

wszystkim utrwaląc jego skutki, broniąc ich przed społecznym odrzutem. I dopiero na zapleczu tej „strażniczej” strony, na jej drugim planie znajduje się to, co jest przeznaczone dla obsługi różnych potrzeb społecznych. Biorąc, więc legitymację partyjną albo przystając, w zamian za stanowisko, na rolę bezpartyjnego do dyspozycji - wstępuje się w pierwszym rzędzie obiektywnie, do klasy strażników ustroju, do „nich”, bez względu na osobiste motywacje. I to przystąpienie ma swoją cenę. Każda kariera z nomenklatury, choćby bardzo odległa od ściśle politycznej dziedziny wiąże się z wykonywaniem czynności strażniczych na rzecz systemu. Czasami tak „niewinnych” jak na przykład zobowiązanie podwładnych do udziału w pochodzie pierwszomajowym a czasami tak daleko idących, jak współpraca z oddziałem pierwszym (tak się nazywają placówki służby bezpieczeństwa znajdujące się we wszystkich większych firmach i instytucjach). Ta strażnicza strona oficjalnych karier powoduje często najpierw konflikty, rozdarcia wewnętrzne a następnie przystosowanie osobowości, czemu towarzyszą nie rzadko różne wykrzywienia charakterologiczne. Kiedyś tę cenę za wstąpienie do nomenklatury godziło się płacić bardzo wielu ludzi po to by móc urzeczywistnić swe marzenia o pozycji społecznej. Godziło się a może też nie widziano jej tak wyraźnie jak zaczęto dostrzegać po przejściu solidarnościowej burzy. Przypomniała ona dobitnie, że system nie ma legitymacji a więc wszelkie działanie na rzecz jego ochrony, wszelkie działanie strażnicze jest działaniem przeciwko społeczeństwu. Dzisiaj analizy socjologiczne prowadzone w awansowych grupach wieku a szczególnie wśród młodzieży, ujawniają znaczne osłabienie pędu do karier oficjalnych. Oprócz usztywniającego kręgosłupy wpływu Sierpnia złożyły się na to także

inne przyczyny. Wśród nich znajduje się niewątpliwie fakt powstania poza sferą państwa alternatywnych drabin awansu pozwalających zdobywać pozycję i poważanie społeczne lepszej marki niż to z nomenklatury. Wyrósł więc jej konkurent i im znaczniejsze będą postępy rekonstrukcji społeczeństwa cywilnego, mierzone ilością ról do obsadzenia, szczególnie ról wynagradzanych, tym silniej ta konkurencja oddziaływała będzie na przemiany zachodzące wewnątrz systemu, których omówienie wykracza poza zakres obecnego szkicu i zostanie zrobione odrębnie. Przemiany te, chociaż mniej widoczne na zewnątrz i często lekceważone, są równie ważne jak te, którymi zajmowałem się wyżej i dopiero zestawione razem mogą one dać w miarę pełny obraz tego, co się dzieje z komunizmem.

Sartrouville, czerwiec 1988 r.

Gdy znika strach komunizm umiera.

Nasilają się objawy destabilizacji całego komunistycznego świata. Dotyczy to szczególnie Związku Radzieckiego, gdzie wielki masyw rosyjski - też z wolna budzący się do życia - otoczony jest dziś pierścieniem narodów żądających wolności i niepodległości. Kazachstan, Armenia, Estonia, Litwa, Łotwa, Białoruś, Mołdawia, Gruzja - wszędzie tam widać bunt przeciw rzeczywistości jeszcze do niedawna niewzruszonej i danej na wieki wieków. Nie można wykluczyć, że ogarnie on też Ukrainę, stawiając - jak powiedział Gorbaczow - pod znakiem zapytania stabilizację całego Związku Radzieckiego. Bunt postępuje też w Europie Centralnej, gdzie nigdy nie było całkowitego spokoju.

Węgrzy, Polacy, Rosjanie, Estończycy, Ormianie, wszyscy oni mają własne

pretensje, ale jest także w tych mnożących się ogniskach buntu ważny wspólny mianownik. Wszędzie mianowicie widać, czasami jeszcze skrywane a czasami już formułowane wprost pragnienie odrzucenia form społecznych i ekonomicznych wywodzących się z rewolucji październikowej 1917 roku. Odrzucenia i powrotu do tradycji, form politycznych i gospodarczych skazanych kiedyś na zagładę jako przynależne do kapitalizmu. Narasta ogromny „ruch na rzecz powrotu”, który w razie sukcesu zrobi z komunizmu epizod historyczny a nie nową formację społeczną, o której marzą do dziś marksiści.

Jest oczywiste, że wobec tego co się dzieje często pada pytanie, dlaczego? Dlaczego ten system tak wydawało się dobrze osadzony, którego niezmiennosc zdumiewała specjalistów od politologii wszedł w tak krótkim czasie w fazę kryzysu ujawniającą jego niestabilność? To, co chcę niżej przedstawić, jest niewielkim przyczynkiem do odpowiedzi na powyższe pytania, ograniczającym się do gospodarki. Teza moja jest następująca: - instytucje komunistycznego porządku są efemeryczne. Istnieć mogą tylko w otoczeniu lękowej psychologii społecznej. Im bardziej jest represyjny system wobec społeczeństwa tym wyraźniejsza ich tożsamość i tym większa sprawność. Kiedy represje słabną i społeczeństwo podnosi głowę, instytucje systemu zaczynają się rozkładać. Tezę tę zilustruje na jednym tylko przykładzie a mianowicie na przykładzie dezintegrowania się mechanizmu koordynacji ekonomicznej w miarę jak słabnie terror i narasta ośmielenie społeczeństwa. Można jednak tę tezę przedstawić także na wielu innych przykładach. Jednym z nich jest partia rządząca zbudowana w czasach terroru i złożona w dużym stopniu z osób „złowionych” podczas zaciągów partyjnych.

Mając w swych szeregach ludzi o różnej wrażliwości: demokratycznej, totalitarnej, lewicowej, prawicowej, religijnej, ateistycznej, istnieć może jako jednolity organizm, jak długo trwa oparta na strachu stabilizacja. Partia bowiem, to w swej ogromnej części „zaanektowany” kawałek świata bezpartyjnych. Pod wpływem politycznego rozluźnienia zaczyna ujawniać się jej naturalne zróżnicowanie, które jest odbiciem zróżnicowania społeczeństwa. W rezultacie rozkłada się jej sztuczna w istocie tożsamość ideologiczna i zwartość organizacyjna. Wreszcie zaczynają odpyływać członkowie, bo schwytni występują korzystając z okazji a sieci nowych zaciągów nawet, jeżeli się je robi są pustawe, bo ludzie przestają się bać odmówienia. Jest to proces nie do powstrzymania, który zakończy się rozkładem partii, jeżeli trwała będzie demokratyzacja. Widać ten proces szczególnie w Polsce i na Węgrzech, ale rysuje się on także w ZSRR. Jeszcze do niedawna niewielu odważało się z KPZR wystąpić, co zawsze pociągało dla nich rozmaite szykany czy wręcz represje. Dzisiaj są już tak liczni, że powstał nawet termin „otkaźniki” na określenie oddających legitymacje. Komunizm realny w tej fazie, jaką dziś obserwujemy przypomina forteczę z lodu topniejącą na słońcu albo beczkę, z której spadają obręcze. Otóż wiadomo, że nie istnieje bez obręczy beczka i bez mrozu lodowa budowla. A teraz przejdźmy do rozwinięcia tych myśli na wspomnianym wyżej przykładzie ekonomicznym.

Rozkład regulacji gospodarczej.

Spychając rynek na daleki plan, gdy chodzi o koordynację działań gospodarczych komunizm zastąpił go tak zwaną koordynacją planową, to znaczy uzgodnieniami w obrębie gigantycznej administracyjnej piramidy, która na miejsce

„niewidzialnej ręki rynku” musiano stworzyć. Uzgodnienia te były zawsze niezmiernie niskiej jakości prowadząc do ostrego braku jednych dóbr, nadmiaru innych a także do niewyczerpanej rzeki absurdów płynącej przez dziesięciolecia. O przyczynach niedostatecznego zgrania decyzji ekonomicznych realnej gospodarce planowej powiedziano wiele i nie ma potrzeby ich powtarzać. Niemniej w okresie powiedzmy „komunizmu młodego” ten typ regulacji pozwalał władzy centralnej lepiej kontrolować procesy ekonomiczne niż to nastąpiło później. W teorii tę różnicę wyjaśnia się następująco: ustrój komunistyczny zaistniał głównie w krajach zacofanych ekonomicznie gdzie gospodarka była niewielka, co do skali i mało skomplikowana. Centralnie zarządzać było więc nią łatwiej wtedy niż później, kiedy pod wpływem industrializacji uległa rozrośnięciu i skomplikowaniu. Na początku ponadto cele polityki ekonomicznej były oczywiste i nieliczne. Chodziło albo o wyrwanie się z zacofania przez uprzemysłowienie albo o odbudowę powojenną też przez uprzemysłowienie. Później natomiast, kiedy cele przestały być oczywiste i nieliczne, centralne kierowanie zaczęło tracić skuteczność. Te okoliczności nie są zapewne bez znaczenia, ale trzeba do nich dodać jeszcze jedną mniej techniczną a bardziej socjologiczną i być może ważniejszą. Komunizmowi młodemu towarzyszył zawsze masowy terror a także silniejsze motywacyjne oddziaływanie ideologii na funkcjonariuszy. I właśnie strach a niekiedy także wiara (wiara - dlaczego by nie w ideologię marksistowską - bywa przecież często sposobem rozładowania strachu; stąd być może tylu wiernych w czasach stalinowskich) zapewniały większą dyspozycyjność aparatu gospodarczego i politycznego wobec dyktatora, osłabiając (ale nie eliminując) skłonność do

prowadzenia z nim przetargów motywowanych interesem swej zakładowej czy biurokratycznej „działki”. Przytłumieniu partykularyzmów sprzyjało również to, że władza centralna prowadziła wtedy politykę gospodarczą zgodną na ogół z hierarchią grup interesów. Władza chciała rozwijać przemysł ciężki nie dbając o konsumpcję i w aparacie - tworzonym od początku równoległe z tą polityką i na jej potrzeby - najważniejsze znaczenie miał segment obsługujący przemysł ciężki a najśłabszy był ten od przemysłu spożywczego.

Gdy chodzi o ludność, terror - wielki (represje policyjno-sądowe) i mały (codzienne zastraszanie przez różne Komitety Obrony Rewolucji czy inne organizacje masowe nadzorujące i inwigilujące społeczeństwo) - wywołując powszechne stany lękowe paraliżował jej potencjalne protesty. Można powiedzieć, że podnosząc wysoko barierę strachu likwidował czasami niemal zupełnie coś, co można by nazwać skłonnością rewindykacyjną. Im ta skłonność jest silniejsza, tym mniejsze obniżenie konsumpcji wywołuje masowe naciski na wzrost płac lub wręcz bunt. Otóż, dzięki wysokiej barierze strachu i niskiej skłonności rewindykacyjnej władza mogła w zgodzie z aparatem realizować intensywne uprzemysłowienie, nie napotykając ograniczeń rzeczowych ze strony potrzeb konsumpcyjnych. Przeciwnie, gdy okazywało się, że trzeba jeszcze zwiększyć akumulację i inwestycje, wówczas Związki Zawodowe „w imieniu klasy robotniczej” występowały o podwyższenie norm pracy bez dodatkowego wynagrodzenia. W Polsce była to praktyka nagminna w początku lat pięćdziesiątych. Na każdego, kto by wątpił, że klasa robotnicza tego pragnie czekała oczywiście policja polityczna. Krótko mówiąc przy sparaliżowanym strachem społeczeństwie konsumpcja służyła

jako darmowa rezerwa pozwalająca ostatecznie zbilansować prawie każdy plan. Z tego między innymi powodu tendencja inflacyjna w młodym komunizmie była wyjątkowo słaba w porównaniu do polityki antykonsumpcyjnej o nasileniu nigdy później nie powtórzonym.

Wraz z zaprzestaniem masowego terroru ten mechanizm doznał poważnej awarii uruchamiając rozsadzające elementy na styku władzy z ludnością i z aparatem. Ze strony ludności pojawiła się presja na wzrost płac i konsumpcji, czasami przybierająca postać strajków i samoorganizowania się pracowników jak to było w Polsce w roku 1956. Te manifestacje protestu szybko wyciszono, ale społeczeństwo nigdy już nie wróciło do poprzedniego zastraszenia. Bariera strachu nieco opadła, skłonność rewindykacyjna nieco się wzmocniła, konsumpcja przestała być darmową rezerwą bilansującą gospodarkę w toku wykonywania planów. Wskutek braku autentycznych organizacji, które by reprezentowały interesy konsumpcyjne społeczeństwa rolę tę musiała przyjąć władza centralna w trosce o polityczną stabilizację systemu, już nie tak pewna jak w okresie masowego terroru. Zmuszona została tym samym do prowadzenia polityki gospodarczej o bardziej wyważonym podziale dochodu narodowego na akumulację i konsumpcję. Polityki odmiennej więc od przyspieszonej industrializacji, która długo jeszcze była bliższa jej sercu sprzyjając nawrotom „industrializacyjnych przyspieszeń”. Taki nawrót dokonany w końcu lat pięćdziesiątych przez Władysława Gomułkę zadał ostateczny cios reformom gospodarczym rozpoczętym po październiku. Takim nawrotem była również polityka Gierka, która doprowadziła do zadłużenia Polski. Żaden jednak z tych nawrotów nie mógł już ignorować konsumpcyjnych potrzeb

jak dawniej. Bardziej zrównoważona polityka zaburzyła również wcześniejszą zgodność między centralnymi priorytetami a dominacją grup reprezentujących przemysł, głównie ciężki w aparacie gospodarczym i politycznym. Od tego czasu władza prowadziła politykę mniej lub bardziej sprzeczną z interesami grup dominujących napotykać ich przeciwdziałania. Był to jeden z czynników, które doprowadziły do rozkwitu - przytłumionych poprzednio - gier przetargowych z władzami zwierzchnimi o uzyskanie jak największego przydziału czynników produkcji.

Doszliśmy więc do skutków zaniechania masowego terroru dla stosunków między władzą a aparatem. Skutkiem najważniejszym było ożywienie się różnych partykularnych względów zachęcających do targów z władzą i obchodzenia jej poleceń, zmrożonych wcześniej powszechnym lękiem o wolność osobistą i życie. W rezultacie tracić zaczęła na znaczeniu dyscyplina prowadząc do słabnięcia skuteczności powiązań hierarchicznych. Krótko mówiąc, przyspieszeniu uległy procesy anarchizacji w obrębie aparatu sprawiając, że będąc wcześniej relatywnie sprawnym narzędziem władzy centralnej a właściwie dyktatora, zaczął przekształcać się w autonomiczne zbiorowisko interesów grupowych. Sprzyjała temu również nowa sytuacja na wierzchołku władzy. Wraz z porzuceniem masowego terroru i wzrostem znaczenia kolektywności władzy ważniejsza stała się rola wpływów w aparacie, jako czynnika cementującego własną pozycję w ścisłej elicie rządzącej. Istniejące już i wcześniej zjawisko klientelizmu znalazło tym samym sprzyjające warunki dla rozwoju. W rezultacie, ważniejszych teraz, zabiegów o tworzenie obozów złożonych z „własnych ludzi”, członkowie władzy

stawali się reprezentantami różnych partykularnych interesów oddolnych. Zaczęło więc zanikać jednolite kierownictwo centralne w sensie podmiotu reprezentującego interes ogółu w przeciwstawieniu do interesów cząstkowych. Obydwa czynniki: gry przetargowe i klientelizm, utrudniły bardzo możliwość nie tylko prowadzenia ale nawet formułowania skoordynowanej polityki ogólnokrajowej powodując narastanie za fasadą gigantycznej organizacji planistyczno-sterującej chaosu o skali i naturze nie spotykanej gdzie indziej.

Final.

Chaos w zarządzaniu, jako wyraz usamodzielniania się aparatu od władzy centralnej i presja konsumpcyjna jako wyraz usamodzielniania się społeczeństwa od systemu, wystąpiły wszędzie po zaniechaniu masowego terroru, chociaż w niejednakowej skali na skutek różnych osobliwości narodowych. Pojawienie się zaś tych elementów pobudziło nowe procesy dezintegracyjne. One też miały narodowe zabarwienie i cechy wspólne. Dwa wydają mi się warte poruszenia.

Pierwsza fala destalinizacji utrwaliła w elitach u władzy świadomość, że system ma poważne wady, gdy chodzi o brak elastyczności, małą skłonność do innowacji i malejącą dyspozycyjność aparatu zarządzania. Nie tknięta natomiast została wiara, że gospodarka całkowicie upaństwowiona i planowana, jest wyższą w stosunku do kapitalizmu formą, do której należała będzie przyszłość. Potem przeszło kilka dziesięcioleci, kiedy usiłowano wyeliminować ograniczenia systemu czasami za pomocą reform gospodarczych mniej lub bardziej ambitnych, częściej przez drobniejsze modyfikacje składające się na tak zwane „ciągłe doskonalenie systemu”. Rzecz charakterystyczna, wszystkie zmiany sięgały po narzędzia

właściwe gospodarce rynkowej. Życie samo wskazywało dalszą drogę podsuwając wniosek, że nie będzie to droga ewolucji ku czemuś nowemu, lecz droga powrotu do form gospodarowania sprawdzonych przez wieki doświadczeń ludzkich. Ale ta konkluzja musiała dojrzeć. Przywracanie regulacji rynkowej, fragmentaryczne i niekonsekwentne, mimo tego czasami dawało niezłe rezultaty, o czym świadczy przykład Węgier, niezależnie od narastającego tam obecnie kryzysu. Wszędzie jednak ze względu właśnie na niekonsekwencje i fragmentaryczność, zmiany zaostrzały zarazem sprzeczności wewnątrz systemu stającego się hybrydą rządzoną przez reguły będące często kombinacją wad gospodarki rynkowej i planowej. Tego rodzaju doświadczenia przyczyniły się prawdopodobnie do podkopania wiary w wyższość i przyszłość gospodarki znacjonalizowanej i planowej wśród przynajmniej części elit rządzących w niektórych krajach komunistycznych. Dziś widać to wyraźnie w Polsce i na Węgrzech, gdzie rządzący już bez ogródek mówią o pełnym powrocie do gospodarki rynkowej i o parcelacji niepodzielnej dotąd własności państwowej.

Drugi ze wspomnianych procesów dotyczy ludności. Koniec wielkiego terroru przyniósł jej likwidację najbardziej brutalnej eksploatacji i zwiększenie troski o poziom życia. Społeczeństwo lepiej zadbane pozostało jednak obojętne politycznie albo w ogóle nie próbując podejmować niezależnych, zbiorowych działań publicznych albo zepchnięte z powrotem w prywatność przez represje jak na Węgrzech po powstaniu 1956 r. czy stopniowe wzięcie w karby jak w Polsce. Wykazywało ono również daleko idący konformizm godząc się występować w zupełnie marionetkowych rolach publicznych imitując na odgórne polecenie bądź to

poparcie ludowe, bądź to ludowy gniew. Długie okresy takiej kombinacji bierności z konformizmem przerywane były jednak przez erupcję buntu, jak choćby podczas Praskiej Wiosny. Wskazywały one, że pod skorupą obojętności i posłuszeństwa ukrywa się silna potrzeba autentycznego powrotu na scenę publiczną by urządzić ją tak, jak powinna być urządzona, to znaczy według życzenia samych ludzi, stosownie do tego, co ich na prawdę łączyło ale i do właściwych im różnicowań, pluralizmu. Od pewnego czasu ta skorupa pęka. Złożyło się na to wiele przyczyn tworzących prawdziwą historię erozji bariery lęku w komunizmie. Pierwszym krokiem była destalinizacja dokonana przez Chruszczowa, który zlikwidował masowy terror prawdopodobnie dlatego, by uwolnić od lęku o wolność i życie klasę rządzącą w ZSRR. Nieuchronnym skutkiem ubocznym było zelżenie nacisku na społeczeństwo radzieckie a także na społeczeństwa w Europie Centralnej. Jego ogólny sens polegał na ograniczeniu czy wręcz na rezygnacji jak w Polsce, z prób kontrolowania wszelkich, najbardziej nawet prywatnych zachowań jednostek. „Jakkolwiek by nie sądzić Chruszczowa - mówi jeden z uczestników radzieckiej dyskusji o tamtych czasach - z jego tupaniami na artystów i karczowaniem abstrakcjonizmu, faktem pozostaje, że to właśnie dzięki niemu zaczęliśmy czuć się oddzielnie wziętymi jednostkami.” W warunkach osłabionego nacisku dojrzewać zaczęły w jednych krajach szybciej w innych wolniej przesłanki przebudzenia się niezależnych działań publicznych. Przyczyną najnowszą, niezwykle silną i oczywiście dzisiaj najważniejszą jest ośmielający impuls, jaki na miliony ludzi w całej komunistycznej domenie wywiera od paru lat odgórna rewolucja Gorbaczowa. Przejawy tego ośmielenia zaczynają być dostrzegalne we wszystkich krajach

komunistycznych a w niektórych nabierają cech lawinowych. Porzucając lękową psychologię, która przez dziesięciolecia gwarantowała stabilizację systemu, społeczeństwa odradzają się w całym swym bogactwie politycznym, światopoglądowym. Wraca religia, prawica, lewica, stare polityczne formacje, własność prywatna, rynek kapitałowy i... giełda. Wraca normalność, chociaż nic jeszcze nie zostało przesądzone, bo siły starego porządku, szczególnie w ZSRR nie są rozbite i mogą podjąć próbę zastopowania tego procesu. Jeżeli jednak im się to nie uda, to krajobraz polityczny i gospodarczy dzisiejszych krajów komunistycznych zmieni się jak w kalejdoskopie, a po obecnym systemie niewiele w najlepszym razie pozostanie. Komunizm, bowiem to strach przerobiony na stosunki społeczne i kiedy znika strach, znika również on sam.

Sartrouville, luty 1989.

Okrągły Stół

Od początku obrad Okrągłego Stołu w Polsce i na emigracji, zadajemy sobie pytanie, co one dadzą? Ciekawi jesteśmy jak może wpłynąć na problemy gospodarcze przeprowadzenie uzgodnionych zmian? Czy ułatwią one ich rozwiązanie i przybliżą moment, kiedy od ekonomicznej strony życie w kraju stanie się znośne? W artykule tym nie ma odpowiedzi „murowanych”, jest kilka przypuszczeń i znaków zapytania zrobionych daleko od Wisły w dniu zakończenia obrad przy Okrągłym Stole.

Generalnie zmiany, jakie mają nastąpić są pozytywne, bo prowadzą do

zasadniczego podważenia czterdziestoletniej już praktyki kierowania gospodarką przez znikomą mniejszość społeczeństwa, na zasadzie uzurpacji i na dodatek w sposób, który nigdzie nie dał sukcesu ekonomicznego. Mówię o podważeniu, a nie likwidacji, bo ważne składniki patologii gospodarczej, jak choćby nomenklatura partyjna, pozostały. Ale po okrągłym stole łatwiej będzie ograniczać jej szkodliwe skutki i łatwiej będzie ją usunąć. Podobnie jak inne patologie odziedziczone po październikowej rewolucji, jeżeli nie dojdzie do konserwatywnego zwrotu w Moskwie. Przebyto spory kawałek drogi ku normalności i otwarto przejście do następnego etapu - tak można podsumować ogólnie obrady okrągłego stołu.

Kiedy jednak przyjrzymy się bliżej nowemu, to obraz się różnicuje. Ma ono elementy, które pomogą rozwiązywać problemy gospodarcze, i takie, które mogą to utrudnić. Sprzyjało będzie znaczne zwiększenie kontrolnej roli opinii publicznej w nad decyzjami administracji państwowej a także władz partyjnych. Wzmocnienie tej kontroli widać zresztą od paru lat. Jest ono następstwem liberalizacji życia społecznego. Do tej pory głównymi kanałami wpływu opinii publicznej są coraz częstsze manifestacje, na przykład ekologiczne, a także prasa. Ta z „drugiego obiegu” i ta nadal cenzurowana, ale coraz łagodniej. W wyniku zmian, jakie mają nastąpić, społeczna kontrola nad władzą wzmocni się przez rozbudowę legalnie działających stowarzyszeń, a także przez wprowadzenie opozycji do struktur państwa. Dzięki temu powstaną znacznie lepsze możliwości zapobiegania decyzjom nieprzemyślanym czy dyktowanym przez interesy partykularne. To właśnie takie decyzje, kwitnące przy braku kontroli publicznej, doprowadziły Polskę do obecnego stanu gospodarczego.

Rozwój legalnych stowarzyszeń, prasy niezależnej od rządu i PZPR oraz utworzenie opozycji w parlamencie sprawi, że siłę przebicia zyskają koncepcje polityki ekonomicznej i przebudowy systemu gospodarczego, które do tej pory nie mogły wygrać z oficjalnym punktem widzenia, często bardzo przestarzałym. Inaczej mówiąc, z pośród myśli i pomysłów krążących w społeczeństwie i zawodowych elitach większa część brana będzie pod uwagę przy wytyczaniu ekonomicznego kursu.

Jakie natomiast mogą być nowe komplikacje w rozwiązywaniu problemów gospodarczych? One są na ogół produktem ubocznym od zmian pozytywnych. Przywrócenie swobody organizowania się w związki zawodowe i powrót „Solidarności” do legalnego działania jest wielkim krokiem ku normalności w Polsce. Wolne związki zawodowe są nieusuwalnym elementem demokratycznego krajobrazu. Hasło „nie ma wolności bez Solidarności” jest w tym sensie całkiem prawdziwe. Ale z drugiej strony wprowadzenie do przedsiębiorstw i instytucji niezależnych związków zawodowych może utrudniać nieuchronne zdyscyplinowanie gospodarki, to znaczy doprowadzenie do równowagi popytu z podażą, przy inflacji dającej się tolerować. Takie związki zawsze wzmacniają siłę nacisku rewindykacyjnego na szczeblu zakładów. Po to się przecież je tworzy. Z drugiej strony zdolność do kontrolowania tego zakładowego nacisku przez wyższe władze związkowe, jest niewielka. Dowodzi tego doświadczenie „Solidarności” z roku 1981 i doświadczenie zachodnich związków zawodowych. W Polsce gospodarka poza rolnictwem składa się ponadto prawie wyłącznie z przedsiębiorstw państwowych. Ich dyrekcje w razie trudności finansowych spowodowanych przez

żądania płacowe będą zwracać się o pomoc do państwa. Przedsiębiorstwa państwowe rzadko bankrutują także dlatego, że władza obawia się politycznych skutków bezrobocia. W rezultacie sektorem najbardziej strajkowym na Zachodzie jest sektor publiczny, który z tego między innymi powodu przegrywa często konkurencję z sektorem prywatnym. Skojarzenie autentycznych związków zawodowych z gospodarką państwową może spotęgować inflacyjne oddziaływanie naturalnej w tym sektorze wysokiej skłonności strajkowej. Obecnie, więc nabiera szczególnej pilności problem poddania gospodarki polskiej regułom rynku i przywrócenia jej także nowoczesnej struktury własnościowej z dominacją sektora niepaństwowego. Staje się to teraz nie tylko warunkiem większej sprawności ekonomicznej kraju, lecz także warunkiem prawidłowego funkcjonowania ruchu związkowego. Musi on w działaniach rewindykacyjnych napotykać przeciwwagę pod postacią groźby upadku firmy, co pozwala na utrzymywanie żądań w granicach ekonomicznych możliwości.

Powstaje jednak problem, czy urynkowanie gospodarki i jej denacjonalizacja blokowane dotąd przez ideologię PZPR i interesy administracji państwowej nie będą hamowane przez okrągło-stołową opozycję zyskującą wpływ na decyzje państwowe? Jest to opozycja wywodząca się z ruchu związkowego i czerpiąca siłę z zaufania tej samej pracowniczej, robotniczej bazy, jaką jest baza „Solidarności”. Czy więc potrafi ona sformułować lub choćby poprzeć niezbędne przemiany gospodarcze, które przy najszcześniejszych układach muszą zawierać posunięcia trudne do przełknięcia dla świata pracy? To jest pytanie, na które tymczasem nie można odpowiedzieć twierdząco nawet uwzględniając fakt, że domaga się ona od

dawna likwidacji nakazowego systemu gospodarczego. Czym innym jest bowiem swobodna refleksja nad tym, co powinno być w gospodarce zmieniane, a czym innym branie odpowiedzialności za takie przemiany przed własną bazą społeczną, która może być im niechętna. Zaangażowanie opozycji na rzecz gospodarki rynkowej nie ulega wątpliwości, ale lęk, by wprowadzając ją nie popaść w konflikt z własnymi zwolennikami może także hamować przemiany zastępując w tej roli słabnący uścisk ideologii. Jak widać, wielki krok ku normalności w kraju, jakim mogą być przemiany zapoczątkowane przez Okrągły Stół zawiera też znaki zapytania. Istnieje ryzyko, że powstanie układ już nie totalitarny - choć jeszcze nie demokratyczny - ale nadal zbyt słaby by dźwignąć nasze problemy ekonomiczne.

Moja największa nadzieja i obawa AD. 1989

„Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie” śpiewamy od lat i oto wygląda, że Pan zaczął wracać ojczyznę wolną. Podkreślam słowo zaczął i wcale nie jestem pewien czy się nie rozmyśli. Moja ocena - bardzo pozytywna - dotyczy tylko dotychczasowej fazy wydarzeń. Nie towarzyszy jej automatyczny optymizm na przyszłość i oczywiście nie podąża ona za „kawaleryjskimi” okrzykami o rychłym końcu sowieckiego dominowania nad Europą Wschodnią, które się ostatnio słyszy. Wykluczyć tego dziś nie można ale są inne możliwości, bardziej prawdopodobne i niestety mniej sympatyczne.

Pan zaczął wracać ojczyznę wolną - uważam tak, bo wykonanie postanowień okrągłego stołu likwiduje totalizm w Polsce i tworzy rzeczywistość, w której układ sił będzie się przechylał na rzecz pełnej demokracji, trzeba tylko by jej zwolennicy mądrze w tym kierunku działali. Jej zwolennicy w obu obozach, bo na rzecz

demokracji działa zarówno opozycja chcąc zdobyć w wyborach maksymalną ilość mandatów jak i ci z ZSL czy SD, którzy uważają, że ich partie powinny uzyskać całkowitą samodzielność, jak wreszcie ci w PZPR, którzy uważają, że partię trzeba podzielić, bo są w niej nurty nie mieszczące się w jednej organizacji. Pan zaczął wracać ojczyznę wolną w sposób niemal idealny, spokojnie, poprzez uzgodnienia z rządzącymi do tej pory, bez wybuchu niszczycielskich namiętności. Moją największą nadzieją jest to, że się nie rozmyśli nawet widząc tyle skrzywionych twarzy ludzi z uszkodzonym wzrokiem i słuchem historycznym.

Moją największą obawą jest diabeł, który już tu miesza. Jego domena to gospodarka. W przeciwieństwie do różnych panikarskich opinii wypowiedzianych od dawna, nie uważam by największym złem ekonomicznym w Polsce była jej degradacja materialna, chociaż taka degradacja ma miejsce. Najgroźniejsze moim zdaniem jest gospodarcze rozprzężenie, które uniemożliwia powstrzymanie „rdzewienia kraju”. Pierwszoplanowe jest więc przywrócenie porządku. W Polsce nie brak koncepcji reform, nie można natomiast od wielu lat wprowadzić w życie doraźnego programu przywracającego porządek, który byłby zarazem punktem startowym dla głębszej przebudowy struktury i mechanizmów gospodarczych. Nie można wprowadzić takiego programu bo - mówiąc w ogromnym skrócie, ale sprowadzając rzecz do jej istoty - wymaga on unicestwienia w taki lub inny sposób jakichś dwu bilionów złotych (w obecnym wymiarze wartościowym), których gros znajduje się w rękach ludzi i zapobieżenia odtwarzaniu się pieniądza bez pokrycia. Jeżeli wspomniane złotówki „nie pójda z dymem”, to poprawa gospodarcza w Polsce nie nastąpi. Przeciwnie, będzie się nasilała inflacja i ogólny chaos, które w

ostateczności staną na drodze postępu demokracji w kraju, jak to bywało w podobnych sytuacjach gdzie indziej. Moją największą obawą jest to, że tych dwu bilionów złotych nie uda się zniszczyć bez ponownego skrępowania ludziom rąk. Byłby to wielki dramat i zwycięstwo diabła.

Rządy czynu czy bezsilności?·

Zwycięstwo wyborcze zapewniło opozycji liczną grupę deputowanych w Zgromadzeniu Narodowym. Jednocześnie wzmocniło wagę polityczną całej, także tej pozaparlamentarnej, opozycji w stosunku PZPR i jej coraz bardziej niechętnych sojuszników. Takiego wzmocnienia można było się spodziewać już po opublikowaniu dokumentów Okrągłego Stołu, choć były powody by sądzić, że zmiana układu sił na korzyść opozycji będzie wolniejsza. Stało się inaczej, wzbudziło to nawet niepokój, rozproszony przez bezprecedensową i zasługującą na uznanie deklarację rzecznika prasowego Partii, akceptującą wynik głosowania. Spektakularne wzmocnienie znaczenia opozycji powinno dać w zasadzie pozytywne skutki gospodarcze. Poważne komplikacje powstać mogą natomiast dlatego, że z wyborczego werdyktu nie będą zapewne wyciągnięte normalne w takich okolicznościach konsekwencje.

Zacznijmy od skutków pozytywnych. Pojawienie się wpływowej opozycji zamyka, miejmy nadzieję, że na zawsze, okres, kiedy decyzje gospodarcze angażujące ogromne środki i przesądzające sytuację ekonomiczną na lata podejmowano w wyniku targów między nie kontrolowaną władzą i jej aparatem. W tych targach interesy reszty, czyli ogromnej większości ludzi interpretowano dowolnie bez pytania ich o zdanie. To między innymi doprowadziło do powstania

struktur gospodarczych odwróconych od ludzkich potrzeb i co za tym idzie do upowszechnienia się przekonania, że pracą nie można dojść do niczego. Możliwość wyrażania różnych interesów i punktów widzenia na sprawy ekonomiczne, jaka się pojawia oraz wywierania nacisku, by były uwzględnione stwarza znacznie bardziej, choć jeszcze nie całkiem, normalne warunki uzgadniania decyzji gospodarczych. Oczywiście nowa sytuacja nie gwarantuje, że podejmowane będą zawsze decyzje najlepsze i że to opozycja będzie ich inicjatorem. Zdarza się w demokracjach, szczególnie w okresach trudności gospodarczych, że pod naciskiem wyborców, albo w obawie przed nimi unika się decyzji koniecznych, lecz niepopularnych, bądź podejmuje takie, co jeszcze pogarszają stan rzeczy. W takim wypadku jednak społeczeństwo, w jakimś sensie, płaci za błędy własne, a nie cudze i co bardzo ważne, ma możliwości naprawienia tych błędów.

Przejdźmy teraz do komplikacji, jakie mogą powstać w sytuacji zaistniałej na skutek wyborów. W normalnych warunkach wynik taki pociągnąłby przekazanie władzy w ręce opozycji „Solidarnościowej”, której wyborcy okazali zaufanie. PZPR i jej sojusznicy, którym wyborcy dali wotum nieufności powinni przejść do opozycji, aby uwolnieni od ciężarów władzy mogli pomyśleć dlaczego przegrali, zrobić porządek we własnych szeregach, wymyślić nowe koncepcje i starać się odzyskać zaufanie społeczne dla ewentualnego powrotu do władzy po następnych wyborach. To byłaby sytuacja normalna, krajem rządziłby rząd z mandatem, a więc mający autorytet, czyli zdolny do podejmowania trudnych decyzji i do ich egzekwowania. To normalne rozwiązanie, najprawdopodobniej, wskutek geopolityki, nie wchodzi w grę. Pozostaje rozwiązanie dziwaczne polegające na

tym, że rządził będzie nadal rząd wyłoniony z formacji pozbawionej mandatu społecznego, natomiast mający mandat zostaną w opozycji. Rozwiązanie polegające na dodaniu paru ministrów „solidarnościowych” nawet, jeżeli nie byłyby to resorty drugorzędne nie da rządowi autorytetu, a opozycję obciąży odpowiedzialnością nieproporcjonalną do wpływu na decyzje. Słusznie, więc „Solidarność” takie sugestie ze strony PZPR odrzuca. Rozwiązaniem zgodnym z logiką powyborczej sytuacji, a zarazem uwzględniającym czynnik geopolityczny byłoby - to jest prywatna imaginacja autora – przesunięcie ministerstw obrony i spraw wewnętrznych oraz ewentualnie spraw zagranicznych do pionu władzy prezydenckiej, która pozostaje w rękach PZPR, i powierzenie uformowania reszty rządu solidarnościowemu premierowi. Taki rząd miałby o wiele większy autorytet, co tak bardzo potrzebne jest w obecnej sytuacji, ale najprawdopodobniej nie wchodzi w grę. Choć więc przeżyliśmy najbardziej demokratyczne wybory w historii powojennej, to ich rezultat dla sprawności kierowania państwem i gospodarką może okazać się wręcz niekorzystny. Jak długo bowiem PZPR rządziła bez legalnej opozycji tak długo mogła wystarczać legitymacja siły nadająca autorytet jej decyzjom. Dopuszczenie opozycji oznacza rezygnację z rządzenia w oparciu o siłę. W tej sytuacji jedynym źródłem autorytetu władzy może być mandat wyborczy. Jeżeli się z jednego rezygnuje, a drugiego nie ma, to można, co najwyżej urzędować w budynkach państwowych, ale rządzić nie można. Władza bowiem to zdolność do wpływania na zachowania obywateli w tym także - a w obecnym polskim przypadku szczególnie - zdolność do stawiania czoła doraźnym rewindykacjom ekonomicznym. Teoretycznie i nader optymistycznie rozumując

można wyobrazić sobie program sanacji gospodarki polskiej, bez czasowego obniżenia stopy życiowej, choć napewno będzie wymagał jej zamrożenia na ładne parę lat. Nie obejdzie się też bez surowej dyscypliny finansowej z drenażem pustych pieniędzy włącznie, co odbierane jest przez społeczeństwo, jako obniżanie jego siły nabywczej i grozi konfliktami. Również zmiana struktury gospodarki polskiej i nadawanie jej rynkowego charakteru wywoła bardzo trudne problemy socjalne niemożliwe do zadawalającego rozwiązania. Wszystko to na dodatek potrwa długo. Szybko poradzić sobie można z kolejkami, czarnym rynkiem i spekulacją, jeżeli tylko znajdzie się sposób na puszczenie luzem niemal wszystkich cen. Natomiast, gdy chodzi o materialny poziom życia odczuwalne rezultaty gospodarczej kuracji - o ile jest ona właściwa rzecz jasna - prawie nigdy nie zjawiają się przed upływem pięciu, sześciu lat a czasami czeka się dłużej. Temu natężeniu problemów nie sprosta w nowej sytuacji politycznej rząd zdezwuowany przez wyborców koalicji pezetpeerowskiej. Będzie on też złą dla Polski wizytówką przy staraniach o pomoc ekonomiczną, czy zabiegach o ściąganie zagranicznego kapitału. W pełnej sprzeczności sytuacji gospodarczej kraju rząd słaby potrafi skutecznie wykonywać jedyną tylko funkcję ekonomiczną - drukować pieniądze. Nie będzie to więc rząd czynu, lecz beziły narodowej. Taka sytuacja może wytworzyć również trudne położenie dla opozycji wymagające od niej niemałej odwagi cywilnej. Stanie ona nie raz wobec dylematu; czy poprzeć konieczne, choć niepopularne decyzje władzy ponosząc za nie odpowiedzialność i konsekwencję jak za własne? Czy sprzeciwiać się im utrwalając sytuację, gdy kraj nierządem stoi, co także będzie obciążało konto opozycji u obywateli? Nie rządząc formalnie, czyli nie

mając możliwości, jakie daje władza, opozycja będzie zmuszona w niej uczestniczyć i płacić za to uczestnictwo pod groźbą, że w przeciwnym razie kraj pozostanie nadal na równi pochyłej. Oczywiście te spekulacje może przekreślić praktyka znajdująca czasami rozwiązania wcześniej zupełnie nie widoczne i oby tak się stało.

"Le Monde" 16 czerwiec 1984 r. Polski tekst w: "Burza nad Wisłą - dziennik 1980-1981". Iskry 2002.